HOMO - fragment opowiadania

Szum pulsował wokół. Niepokorny, ciężki oddech letniego powietrza przyparł go do otwartego okna. Na łóżku było zbyt gorąco, nie odnajdywał tam snu od dawna, pomimo, że opadał na ziemię ze zmęczenia. Zegarek poluzował się na jego ręce, przekręcił, wskazał trzecią...

Dusił go kaszel. Krztusił się co chwila, charcząc głośno przełykał, klnąc w niebogłosy, potem zapadał w suchą ciszę, nieustanną, pustą... Mówił do siebie przez chwilę wspominając spotkane popołudniową porą twarze. Potem przebiegał niespokojnie na kolejną myśl, która rozsadzała od wewnątrz jego mózg...

Tej nocy psy szczekały nawet o tak późnej porze. Niebo było szare. Zadumał się i ostro zaciągając lepkim powietrzem przesiąkniętym papierosowym dymem, który stał w bezruchu, nie mogąc unieść się do góry.

Zwymiotował.

Od miesiąca przydarzało mu się to codziennie, prawie o tej samej porze, jak w cholernym szwajcarskim zegarku, 3.20. Nie chciał iść do lekarza, czekał aż samo przejdzie. „Przecież bezsenność nie może trwać wiecznie" powtarzał głębokim głosem, ostrym od zdzierającego go kaszlu, zaciągając się kolejnym papierosem, chyba już dziesiątym z kolei. Ślinę miał brunatną, gdy ciężko spluwał w dół z dziesiątego piętra, wyraźnie słyszał odgłos dotknięcia podłoża, tak jakby spadały cegły...

Powtarzano mu nieustannie żeby rzucił wreszcie to gówno, najlepiej z tego wieżowca na górce, co miał dwieście pięter.

Zwymiotował po raz kolejny.

Teraz zaczął się niepokoić, zdarzyło się to pierwszy raz. Odkąd pamiętał nigdy, nawet po najgorszej ruskiej wódce, nie skończył w ten sposób, nawet podczas niestrawności, nigdy... „Pewnie nadchodzi koniec" pomyślał i zmoczył głowę ciepłą od trzymania w rękach wodą mineralną, z której uszedł cały gaz - byli do siebie w tej krótkiej chwili tak podobni...

Nie poznawał się już w lustrze, kiedyś był gruby jak beczka, teraz schudł tak szybko. Jego metabolizm nie produkował tłuszczu pomimo ciągłego wpychania w siebie ton jedzenia, przy tym, na tors rzuciły mu się piegi! Za uszy i za... dziesięć czwarta zwymiotował po raz kolejny.

Ciebie też nie ma na Niebie...

Ranek przesiąknięty był zapachem deszczu. O świcie, pod naporem ciężkiego powietrza niebo uroniło łzy, skamląc i wyjąc, by po chwili złamać sobie kark białą, pierzastą chmurą. Słońce zastało go dogorywającego na kanapie w pozycji embrionalnej, z załzawionymi oczyma, nie reagującymi na sączące się przez ciemne kotary światło. Szklił się, pusto i beznamiętnie, bordową powłoką okalającą oczodoły... Ślina pozostawiała długi ślad na jego policzku, ciemną strużkę idącą od kącika ust... Mechaniczny jazgot miał się co dopiero rozlec. Zegarek zwykle dzwonił o siódmej, długo i przeraźliwie, przeciągając

przestawał po minucie, by za kolejnych pięć zwiększyć natężenie, uporczywie nalegając, by ktoś wreszcie skrócił jego mękę i przycisnął guzik.
Czas upływał.
Trzeba wstać - przebiegło przez jego głowę.

Na białym dywanie o zmierzwionym długim włosie, przebiegała wiązka wiatru, łagodnie kładąc, po czym podnosząc je niczym lipcową niwę zboża. W zwolnionym tempie turlała się niebieska, przezroczysta kula z zatopionym we wnętrzu bursztynem, przez który złociście przesączało się słońce. Bryła przybliżała się w jednostajnym tempie, po prostej ścieżce, jakby poruszając się po niewidocznym trakcie. Wszystko tonęło w czerwonym świetle, pochodzącego z nieznanego źródła, wypełniało szczelnie wnętrze, które załamywało się gdzieś na horyzoncie. W delikatnie wilgotnym powietrzu unosił się zapach fiołków, mieszający się
z wonią piernika. Był cicho, idealnie cicho... po czym ucho zaczynało rozróżniać poszczególne dźwięki, na pierwszy rzut niedostrzegalne istniały tam na pewno, z czasem zaczynały narastać... Kula przybliżała się
w niezmiennym rytmie... Wreszcie wyłonił się czysty ton, potem kolejny i następny, na razie przytłumiony, lecz rozpoznawalny, tworząc ciąg nut, które powoli układały się w magiczny zapis. Wspomnienia
w apopleksji rzucały się w celu odnalezienia klucza do jego rozszyfrowania, metrum, które na końcu języka krzyczało „Znam to!”. Kolejne dźwięki przypływały, coraz głośniejsze, stawały się wręcz krystalicznie czyste, gdy nagle, na oślepiająco białej chmurce pojawił się Anioł w długiej, śnieżnej szacie, o złotych włosach, o łagodnie pięknej twarzy. Zlatując z nieba, jakby z lewej strony, skierował się na nieustannie toczącą się kulę i osiadł na niej, teraz wraz z nią przybliżając się z każdą chwilą.
Kula rosła w oczach, by okazać się dwumetrowym monstrum. Na jej grzbiecie Anioł poruszał ustami, stojąc nieruchomo z wyciągniętymi do przodu rękami. Dźwięki były coraz bliższe, kula coraz bliżej.
Chciałem podnieść się i biec, uciec przed toczącą się kulą, lecz nie mogłem zrobić żadnego, nawet najmniejszego ruchu, każda część mego ciała, odmówiło posłuszeństwa, a Anioł zbliżał się z każdą chwilą... szamotałem się... wyłem...

I nagle wszystko zatrzymało się - kula przestała się toczyć, dźwięki przestały rosnąć, Anioł ruszać ustami. Zapadła cisza...

Usilnie wpatrywał się w swoje lustrzane odbicie, spod sino-bordowych, opuchniętych powiek. Przed nim, przelewała się woda, pomiędzy jego okaleczonymi palcami, ramionami... roztarł twarz. Krople wody głucho opadły na ziemię, spływając wzdłuż ciała. Kwaśny smak w ustach nie ustępował pomimo

rozlicznych prób wypłukania go mocno miętową pastą do zębów. Dotknął policzka, na którym ostrzył się jednodniowy, ryży zarost, po czym sięgnął po brzytwę leżącą na półeczce pod lustrem, zdjął skórzany pas oplatający go w pasie, wieszając go na wystającym ze ściany haku przystąpił do ostrzenia metalu, jednostajnie z góry na dół...

Znajdująca się na przeciw niego ściana wyrzuciła z siebie odgłos, tak jakby wydymając się głęboko odetchnęła. Odpadł tynk, Homo przyglądając się uważnie porozrzucanym na całej długości muru odpryskom spostrzegł, że ściana miała brunatno-zieloną barwę. Po chwili dotarło do niego, że cała usiana była pęknięciami, które tworzyły ogromną i nie kończącą się pajęczynę. Z głębi niej przebijała rdza i pleśń. Poczuł, jak znowu robi mu się niedobrze, schylił się i włożył pod bieżącą wodę całą głowę, po czym odrzucił ją gwałtownie do tyłu ścierając ją przy tym z twarzy rękami. Otworzył oczy właśnie wtedy, gdy zza lustra wypełzł czarny, mięsisty robak o długim, pękatym odwłoku. Poruszając czułkami, tak jakby rozglądał się dookoła, zamarł na moment w miejscu, po czym gwałtownie ruszył z powrotem do swojego miejsca pod szybą.
Kropla krwi roztrzaskała się o kant umywalki. Na jego ręce widniała długa, bordowa rana po brzytwie.
Znowu - syknął sięgając mechanicznie drugą ręką po środek do dezynfekcji zranionego miejsca, krew wypełniła wnętrze umywalki, rozrzedzona wodą miało prawie różową barwę. Spojrzał na ścianę. Była cała wyklejona idealnie białymi, nowymi kafelkami. Na ten widok skulił się i opadł na ziemię nerwowo rozcierając rękami głowę, która z każdą chwilą okrywała się bordową, wypływającą z rany krwią.
Znowu - głucho jeszcze raz jęknął...

Jak każdego ranka zasiadł przy kuchennym stole. Żółta cerata służąca jako obrus kleiła się do rękawów jego pidżamy. Co dzień powtarzał sobie, że kupi wreszcie obrus i każdego dnia zapominał.
Na kuchence gotowała się właśnie kawa. Kochał jej cierpki smak - odpowiednio przygotowanego mocnego napoju o poranku, oczywiście tylko po włosku. Otrząsnęło go aż z obrzydzenia na myśl o lurze, którą jest zmuszony pić w pracy. Do filiżanki nalał gorący napój, wyciągnął papierosa i odpalił. Rana na ręce dała znać o sobie przeszywając ostrym, lecz krótkotrwałym bólem całe ramię. Grymas zagościł na jego twarzy, nie myśląc jednak długo zakończył go solidnym łykiem kawy.
Zdecydował się wyjść, zbliżała się ósma.

W metalowej budce panował spokój. Brudne wnętrze, obite poplamionym zaschniętą krwią i śliną materacem, dusiło się w słabym świetle. Pośród nalepek reklamujących porno, sado, gejo, kluby znalazł miejsce na którym widoczny był jeszcze odciśnięty ślad po jego zębie trzonowym. Nie wytrzymał wtedy, puściły mu nerwy.
Aparat umieszczony był na suficie budki, czekał na uruchomienie z uporczywym spokojem, otwartą raną

na chipową kartę, ciepło i szczelnie zasłoniętym głośnikiem i metalowymi klawiszami z cyframi. Homo wcisnął plastik do otworu i wybrał numer. Chwilę to trwało, zanim odezwał się głos z głośnika:

- Co, smrodzie!

- Ty gnoju, pyskujesz?! - rzuciło nim konwulsyjnie, ślina pieniła się z kącików ust, pięści zacisnęły się w sobie.

- Spadaj! Ch...! - głos dobiegający z głośnika charczał szczelnie wypełniając wnętrze budki.

- Skurczybyk! - wypluł z wściekłości papierosa uderzając pięścią z całej siły przed siebie, głową w bok, nogą.

- Jesteś nikim! Co ty sobie wyobrażasz, pomyju! Szmato! - głos wibrował w trzęsącej się od wściekłych uderzeń budzie.

- Gnoju! - charczał ledwo łapiąc oddech, rozgniatając ściany, krzycząc w niebogłosy, próbując dorównać siłą głosowi dochodzącemu z głośnika.

- Cioto!

W szale nie czuł jak puchną mu żebra, jak strzelają kości. Cały mokry, opluty szamotał się we wnętrzu budy...

Nagle wszystko ucichło, tylko rozpoczęty ruch ciała dogorywał na ścianie, potem padł wycieńczony na ziemię. Aparat rozbłysk jeszcze na chwilę, a z głośnika dobiegło ostatnie zdanie - Dziękujemy, że wybrali państwo usługi naszej firmy „Odreaguj S.A.”, dziś głosu udzielał wasz prezydent. Dziękujemy i zapraszamy ponownie, sprawdź kto opluje cię jutro! To był miły, kobiecy głos. - Odbierz kartę! Odbierz kartę!

[...]

© KOZIOŁ